

## PAMIĘTNIKI, WSPOMNIENIA

Kazimiera Hejnowicz-Kosińska

### NA WYSIEDLENIU W GENERALNYM GUBERNATORSTWIE<sup>1</sup>

Podświetlone czerwonym słońcem szyby wagonów kolejowych skrzyły się przecudnymi kwiatami. Potem znów stanęliśmy, na jakieś dwie godziny, i wszyscy uchyliłi okna, myśląc, że to koniec podróży. A jednak nie. Znów staliśmy w polu. Po raz kolejny od chwili wyjazdu z Gostynia 8 grudnia 1939 roku. Wzdłuż pociągu stali ludzie z czajniczkami, dzbanuszkami, bańkami, garnkami z wodą. Dla nas! To było niesamowite. Podawali nam je. Mamusia opuściła okno i odebrała od nich czajnik, a wodę nalała do butelki. Płakała. Ci ludzie tam też. Pytaliśmy ich, skąd wiedzieli, że tu taki pociąg pojedzie. Oni odrzekli, że to już dzisiaj czwarty i wciąż tu pilnują, by podać wodę, bo ludzie o nią tak błagali, że aż we wsi było słyhać. Bardzo tych ludzi pokochaliśmy.

– Bóg zapłać – mówiliśmy im. – Niech was Bóg błogosławi.

Wołałam zza mamusi:

– Pamiętajcie! Do każdego pociągu biegnijcie, bo tu ludzie umierają z pragnienia! Do widzenia! A nie wiecie, dokąd oni nas wiozą?

Ramiona podnosili, twierdząc, że nie wiedzą.

– A skąd były tamte pociągi? – pytaliśmy.

– Z Poznańskiego! Z Gniezna, z Inowrocławia, z Kruszwicy, z Poznania! I z Pomorza też! – wołali.

– A wy skąd? – pytali, gdy już pociąg ruszał.

---

<sup>1</sup> Tekst jest fragmentem obszernych wspomnień Kazimierzy Hejnowicz-Kosińskiej, córki Mieczysława, przygotowywanych do wydania książkowego.

– My też spod Poznania! – wołałam do nich.

Strażnicy jakoś byli względni, a może już mieli wszystkiego dość. A tamtych ludzi stojących nie odstraszały ani ich pogroźki, ani szturchańce, ani szwabskie krzyki.

– Słyszeliście? Mówili, że już 15 takich transportów w ostatnich dniach tu naliczyli. O dranie przekłete! – wołał Janusz. – Psubraty, niedoczekanie wasze!

Potem jechaliśmy długo, bardzo długo bez żadnego stawania. Jakbyśmy do celu zmierzali. W pewnym momencie pociąg nagle stanął, a wszyscy równocześnie krzyknęli:

– Chryste! Światło! Dlaczego jest ciemno? – wrzawa się podniosła.

Szum zrobił się szalony, bośmy myśleli, że przybyliśmy wreszcie na miejsce. Pilnujący nas uzbrojeni strażnicy wrzeszczeli:

– Zumachen! Zumachen! Zumachen! Sofort! Rein!

– Co jest do cholery! Czemu światła nie ma? Dlaczego stoimy?

Oni przez tubę zapowiedzieli, że za 15 minut będziemy wysiadać. Poleciał zatem znów stek przekleństw i wyzwisk Janusza.

– Wiaruchna! Więc pamiętajcie, w razie czego kupy się trzymać! Słyszycie?! Razem idziemy. – mówił Janusz.

Mamusia na to ostro:

– W razie czego, mój drogi? Chyba dadzą nam wreszcie jakieś przyzwoite schronienie. Dzieci, płaszcze nałóżcie i teczki swoje w pobliżu trzymajcie! Zaraz będziemy wysiadać. Nie śpijcie już teraz. Słyszycie?

– Wam to dobrze, bo nie macie nic do dźwigania, a my tyle piernatów, dupereli!

– Kornel! – rąbnął go Mietek.

– Na miłość boską, gdzie oni tu chcą się zatrzymać, przecież tu wszędzie szczerze pola wokół – było słychać.

– A śnieg tu i mróz jak diabli! – któraś kobieta wrzeszczała.

– Boże! Jak my po tej nocy pójdziemy? – słychać było głos mamy.

Minęło dobre 15 minut, a my jechaliśmy dalej i jechaliśmy. Powoli wszyscy posnęli znowu.

Nagle usłyszałam głos Janucha:

– Wysiadamy! Wiara! Wysiadamy! Wyskakiwać!

– Chłopcze, przecież tu... pole! Otwarte pole! Jak to, tu?

– Ale każą, ciociu, Niemiaszki, ot kultura taka, to trzeba!

Wysiadajcie! Trzeba! Szybko!

Krzyki i piski rozlegały się wszędzie.

– Ale dokąd? Z dziećmi wyjść teraz?

– Mówią, że to nie wysiadka, a przesiadka. Przejść mamy tylko do innego pociągu. Blisko tam podobno stoi towarowy. Chodźmy!

– Hali i Zosi trzymajcie się mocno, dzieci. Dzieci! Nie śpijcie, wyjść mamy! Jesteście wszyscy? Trzymajcie się z nami.

– Kazia, wychodź! – bracia prosili.

– Skacz, Kazia!

– Ignaś! Ignacy! My tu są! – nawoływali się ludzie.

Mogliby reflektorem oświetlić te szyny, bo byliśmy jedynie w smudze światła z lokomotywy.

Silny mróz czuć i słyszy się skrzypienie nóg na śniegu. Dochodzimy do owych bydlęcych wagonów, do których mamy teraz wejść. W tym wagonie ma jechać nasza matka? Lecz nadbiegają oto znajomi, koledzy z klas moich siostr i zapraszają ją na zostawione dla niej miejsce w jednym z dwóch wagonów osobowych, które w tym pociągu podobno też są. Ona nie chce sama tam iść, lecz jest bardzo mało czasu. Z wagonu wystają głowy Stefana i Mietka, więc i ja dołączam do nich.

– Jak było nas powiozają! – krzyki słysząc.

Słysząc głos mamy, więc do niej biegniemy i gdy nas zobaczyła, zdecydowała się wejść do wagonu. Jedno miejsce znalazło się dla mamusi, a my musieliśmy stać ściśnięci.

– Bolech, są wszyscy?

– Tak, mamusiu.

– No, a panie z dziećmi gdzie?

– W wagonie obok są.

– A Szymon i Henryk gdzie, w tych bydlęcych?

– Tak.

Po niedługim czasie rytmiczny, monotony odgłos jadącego pociągu uspił nas. Wyszliśmy wszyscy o szarym brzasku dnia i szliśmy w mocno sypiącym śniegu. Idący tłum modlił się. Widać było zarysy domów stojących długim szeregiem. Potem wskazano nam przebrzydłe baraczkisko z szarzielonych powyginanych desek sklecone, na wielkim jakimś podwórzu, marnym okolone płotem. I tam kazano nam wejść. A to było wielkie, takie zaśmierdłe stęchlizną pomieszczenie dawnego browaru na obrzeżach Rawy Mazowieckiej. Każdy musiał się jakoś położyć na tej nieczystej słomie. Wstyd o tym pisać. Spałam obok mamy w tej szopie. Wszyscy kluczyli po tym wielkim placu.

– Miały tu przybyć pono furmanki jakieś po nas... No, niestety, ni widu, ni słychu – wołał Janusz.

– Chodźcie na razie, mam garnuszek, napijmy się tej żołądziówki.

– Czego? Tego z tej beczki?

– To kawa tam jest podobno, tylko gotowana z żołądzi.

– Kawa z żołądzi?

– No ponoć. Smród, bo smród, ale chodźmy, skosztujemy jej.

– Nie pijcie, Januch, bo ktoś mówił, że to trucizna jest. Nie pijcie! – z boku śmiejąc się wołał Witek, kolega klasowy Janusza.

– Idź do diabła! Ja muszę coś łyknąć – odparł.

– Ja też.

– I ja – po kolei odpowiadaliśmy, ale kiedy łyknęliśmy, miny nam zrzedły. Pomyślałam: trucizna. Janusz też zdębiał i trzymając płyn w ustach, namyślał się, co z nim zrobić.

– Ale lura! Wypluj to świństwo, Januch, to jest na pewno zatrute! – wołał Kornel, płacząc i plując mocno dokoła.

– Ale mamusia prosiła, żebym przyniosła coś do picia i co teraz? – martwiłam się.

– Cholery można dostać od tego świństwa. Nie wiem, co ci doradzić. Ale chyba by nas nie wieźli tak daleko, żeby nas otruć. Zrobiliby to na miejscu.

– Nie wiercie, ona jest tylko mocno przypalona, popić można. Gdy nie ma nic innego, musi być to, nie ma rady – powiedziała jakaś obca kobieta.

Bałam się, co mamusia powie na taki nektar, ale zaniiosłam bez słów. Gdy upiła, pytająco spojrzęła na mnie.

– Nic innego nie ma, mamusiu.

– To ma być ta kawa dla nas?

– Podobno. Stoi na środku podwórza w beczce.

– Może nie dla ludzi?

– Przecież zwierząt tu żadnych nie ma.

Znow tak samo na mnie spojrzęła, jak przedtem, gdy łyknęła tę „kawę”, ale popiła jeszcze.

Kobiety obok modliły się. Nasze dzieci wszystkie mocno spały na tej słomie bardzo brudnego koloru. Bolech spał, także Stefan i Zocha zwinęci w kłębek.

– I co dalej? – mama spytała słabiutko.

– Mają po nas przyjść jakieś konie.

– Konie, mówisz?

– Tak, już podobno są w drodze.

– I dokąd nas powiozą?

– Podobno miastowych do tego miasta, co tu jest, które widać z daleka, a wiejskich do wsi mają porozwozić.

– I co my w tym mieście będziemy robić?

– Nie wiem... Pójdę, zobaczę, czy już jadą.

– Idź moje dziecko, okrzepłaś trochę, to idź.

I furmanki rzeczywiście nadjeżdżały ze wszystkich stron, i sanie. Najważniejsze teraz było dach nad głową znaleźć. Ale ludzie nie oglądali ich tak, jak ja. Brali i jechali. I pustoszał „nasz” plac, a mamusia wciąż nie mogła, czy nie chciała, wyjść stamtąd. Aż zostaliśmy sami. W baraku bardzo ciężko chora była pani Kaczmarkowa, mama Franka, a żona pana kierownika szkoły podstawowej, który był z tatusiem naszym rozstrzelany. I oni załadowali się razem z nami na wyszukane przez nas dwa wozy. Bardzo

ciężko chora pani Kaczmarkowa w pościeli, jej dorosła córka i syn Franek, który razem z naszą Halą przed rokiem maturę zdał, ruszyliśmy w nieznaną. Mamusia zdecydowała się na wieś, słysząc, że wujek Szymon z synami i siostrami już poszedł, gdyż jeden z jego małych synków dostał silnego zapalenia gardła. Wujek Henryk z rodziną też już poszedł, bo im prędzej, tym lepsze się zdobędzie mieszkanie – mówiono.

Gdy i Maryla nasza powiedziała, że ją też coś kłuje w gardle, wtedy dopiero nasza mamusia wstała zobaczyć, jakie wybraliśmy konie przy wozach i tabliczki do nich przyczepione. Z pomocą weszła na ten wóz do zwożenia ziemniaków z pola. Zima ukazała nam się w całej pełni. Mrozisko! Śnieżysko!

– To chyba będzie to Polesie – wyszeptła matka.

– Nie mamusiu, jesteśmy pod Rawą Mazowiecką, to środek Polski – zapewniał Bolech.

Zocha z Marylą i Stefan z Felą jechali na drugim wozie za nami, z chorą panią Kaczmarkową i jej dziećmi. Wiecznością wprost wydawała się owa droga. Potem tak było mroźno, żeśmy derki od koni zarzucili sobie na głowy i siedzieliśmy tak, jak pod baldachimem.

– Widzieliście, co Januch wyprawiał tam przed tym barakiem? – spytał Bolech.

– Widziałam – odparłam.

– Pewnie, że widziałam, bo go nawet za mankiet ciągnęłam, żeby się opamiętał.

Jeden z wysiedleńców, gospodarz całą gębą, o sumiastym rudawym wąsie i czerstwej cerze, człowiek już starszy, poważny i wyglądający na bardzo zamożnego zaczął na tym podwórzu przemawiać do ludzi – co mamy robić, jak postępować w tej sytuacji. Słuchałam całą chwilę i byłam zbudowana tym, jak pięknie i mądrze mówił. O podłości wroga, o sprawiedliwości, która nadejdzie, i o tym, że nie wolno nam się im dać, że nie wolno nam się załamywać, bo to byłoby grzechem i że w obecnej sytuacji...

Śnieżyca dęła szatańsko i teraz już nie wiedzieliśmy, jak się do siebie tulić mamy i gdzie się schować, żeby było nam cieplej.

– Wiha! Wii-jo! Hajda! – wołał furman odziany w grubą baranicę, co miała kołnierz olbrzymi z kłaków czarnych kręconych, a i czapę miał podobną, mocno na nos zaciągniętą.

– Hej, panie! Kiedy my wreszcie będziemy na miejscu? Ile to miało być kilometrów?

– Zaspy! Państwo wielmożne, tak byśmy już dawno byli.

Woznica wstawał, to schodził i poganiał konie.

– Widać jakąś wieś, czy to ta, proszę pana?

– Ta! Ta!

- Ojej! Nareszcie!
- Śniegu, że chałupy ledwie widać.
- Na miłość boską i co my będziemy robić na tej wsi?
- No to się zobaczy, mamusiu. Nie martwmy się naprzód.
- Dwór – powiedział furman.
- Dwór! – zawołały dzieci.

Naszym oczom ukazał się dwór cały w bieli. Mijałszy nadzwyczajny drzewostan, chyłący się ku nam zza płotu. Widać było dawny dworek szlachecki z dwiema kolumnkami przy wejściu. Minęliśmy go, skręciliśmy w dworskie podwórze i stanęliśmy. Drugi wóz za chwilę dojechał i stanął tuż za nami.

– Przywiozłem! – zawołał głośno do kogoś nasz woźnica, a my siedzieliśmy zmarznięci.

Zbliżył się do nas jakiś pan, gruby jak beczka, z wąsami sumiastymi, w kozuchu do ziemi i patrzył na nas osłupiały.

– Kto wy jesteście?

Ale my nie odpowiedzieliśmy. Zapytał więc znowu:

– Kim jesteście?

– Niemcy wywieźli nas z Wielkopolski.

– Aha! – odwrzasnął.

– No dobrze, dziatwy tyle, widzę tu kupę dzieciarni, ale gdzie rodzice? Gdzie mężczyźni, ojcowie?

Zapanowało milczenie. I co teraz? Czy zdradzić, żeśmy do ich wsi zjechali tu kupą dzieci z matką, bez zarabiających na nas rąk ojca? Co teraz będzie? Przyznać się, że szukamy u nich schronienia? Noclegu? Pożywienia? W tej tu głuchej małej wsi? Chyba biednej...

Później mroźne powietrze przeciął głos mamusi:

– Nie mam męża. A to są moje dzieci. Dziesięcioro.

Wyraz zupełnego niedowierzania przebiegł przez twarze przyglądających się nam ludzi, co zebrali się przed naszymi wozami.

– Naszego tatusia nam zabili! – zawołało jedno z dzieci z wozu. – My nie mamy tatusia już! Zabili nam Niemcy! Rozstrzelali!

Franek zeskoczywszy z wozu, doszedł do rządcy i mówił:

– Nasi ojcowie zostali zabici, rozstrzelani przez Niemców.

– Rozstrzelani?! – wrzasnął pan agronom – Za co?! Za cóż to?

– Za to właśnie żeśmy Polakami! Za to – odezwał się Bolech.

Później dzieci zaczęły postękiwać, pobekiwać na wozie, że są głodne, że chcą iść do domu, że już nie mogą. I wtedy mamusia poprosiła, aby ów człowiek zechciał wskazać nam miejsce, gdzie możemy odpocząć, ogrzać się i położyć spać. I zwróciła się do Zochy:

– Zocha, a jak tam Maryleczka, narzeka na ból w gardle?

Zocha pokiwała głową, że tak.

– Czem prędzej, proszę pana, muszę ułożyć dzieci spać. Od pięciu nocy nie spały. Najmłodsza ma zajęte gardło. Kto wie, co to jest.

– Może to być szkarlatyna albo angina – powiedział jeden z naszych braci.

– Proszę skierować nas więc tam, gdzie trzeba.

Pan agronom wrzasnął na furmana:

– Jakub, zawróć konie do gorzelni!

– Do gorzelnego?! – spytał Jakub, ten, co nas wioził.

– Toż mówię ja tobie!

Marylka jechała teraz na naszym wozie, a Zocha, Franek i Bolech szli pieszo obok wozów. Szedł też z nami pan agronom.

– Ale tu śniegu! – zachwycaly się dzieciaki.

Bo cudnie wyglądała wieś ta w zimowej szacie i w słońca zachodzie. Bliziotko było do gorzelni, bo już chyba za 5 minut byliśmy na miejscu.

– Jak to, proszę pana, po tak wysokich zaladzonych schodach mają wchodzić moje dzieci, przecież połamią sobie nogi!

– Każę jutro wysypać piaskiem – powiedział pan agronom.

Dom był dość masywny. Przyzwoity, to znaczy mocny.

– Innego, niestety, lokalu nie posiadamy, dysponujemy tylko tym. Więc, jeśli łaska, proszę na górę.

– Co mówicie na to, dzieci?

– Już lepiej wejdzmy, mamusiu, bo tacy jesteśmy głodni i śpiący.

Franek i Bolech odbierali dzieci z wozu. Gorzej było z zсадzeniem mamusi. Pomagał furman i pan agronom. Tak samo było z ciężko chorą panią Kaczmarkową. Ją trzeba było znieść. Po śliskich, drewnianych, oblodzonych schodach, trzymając się mocno rozchwianej poręczy, ostrożnie wspinaliśmy się, a właściwie to wdrapywaliśmy się na górę. Potem naszym oczom ukazała się jakaś ciemna rupieciarnia, pełna drutów, żelastwa, kartonów i stert starych papierów.

– A to co?! – spytała przestraszona i zła mamusia.

– Dalej, dalej! Proszę przejść do tamtych drzwi.

Otworzył je agronom.

– O! Tu jest jedno pomieszczenie, a tam drugie – powiedział, wskazując.

– Jezus Maria! Jezus Maria! – szepnęła nasza matka, ujrawszy piec, podobny do tego, jaki był u nas w domu w starej pralni, i długi stół z dwiema ławami.

– No dobrze, a gdzie spać będziemy?

– O tu! – wskazał nam izbę wybieloną z okienkiem, obok tamtej.

Stało tam jedno żelazne łóżko wojskowe, a reszta izby wzdłuż najdłuższej ściany pod oknem zasłana była słomą.

– Jezus Maria!

- Piece są, proszę pani, dobre, tak że zaraz każę napalić.
- Mój Boże jedyny! – szeptała mamusia.
- Franek z siostrą swą i naszą Zochą z największym trudem wprowadzali właśnie do tych izb ciężko chorą matkę.
- O jejku! Mama! Jest łóżko! Już mamę kładziemy! – wykrzyknęła córka pani Kaczmarek.
- Czem prędzej kładźcie mamę na to łóżko – stanowczo mówiła mamusia. I potem do rządcy: – No dobrze, dobrze, ale co z naszym spaniem? Dostała odpowiedź, że to tylko na dziś.
- No dobrze, proszę pana, ale... dzieci! Dzieci są bardzo głodne, a my nie mamy ani garnka, ani co do garnka. Co teraz?
- Ja zaraz powiem pani dziedziczce i sądzę, że przyśle dla państwa cośkolwiek.
- Jeśli to możliwe, proszę pana..., to prosiłabym jak najprędzej, bo ledwo stoimy.
- Postaram się.
- Przyszedł pan gorzelany i powiedział, że jego żona poda nam zaraz coś gorącego do picia. A jego córka, w długich koloru lnu warkoczach, już ustawiała różne kubki na tym długim stole. A pewnie jej młodszy brat przyniósł drwa, by rozpalić w piecach i raz dwa ogień się palił. Potem jego żona wniosła dzban z dymiącym od gorąca napojem. Dzieci natychmiast rozsiadły się na ławach przy stole. Kobiety wniosły na talerzach chleb. Chleb z miodem! Pachnący wiejski chleb. Cóż za pyszności. Nigdy w życiu nic nam lepiej nie smakowało, jak ten chleb. I kawa też była pyszna, i mleko doniesiono.
- No dobrze, ale ciemno się robi, a tu światła nie ma. Dlaczego tu nie ma światła? – pytała mamusia.
- Mam zapasową karbidówkę, to pani odstąpię zaraz.
- Co takiego? – zapytała nasza matka.
- No, na karbid chyba jakaś lampa – mówiła siostra Franka.
- No, mama nareszcie śpi.
- Wypiła cokolwiek?
- Nie. Od razu usnęła. Tylko głową dotknęła poduszki. Niech śpi... Biedaczka – i pani Marysia otarła łzę. – W pociągu, wie pani, myśleliśmy, że... już kończy.
- Co pani mówi, to tak źle?
- O tak, mama już od półtora roku ciężko choruje na astmę.
- Ach! To astma? Mój Boże!
- Marylka? Wypiłaś mleczko z miodem, to jutro będziesz zdrowa, moje dziecko. Zaraz spać pójdiesz.
- I kiedyśmy się już właściwie najedli, z dworu przyniesiono jeszcze większą porcję chleba. Ten chleb był z masłem i miodem, a w wiadrze mleko. Postanowiono zostawić to na jutro na śniadanie. Ale dziewczyna



dworska powiedziała, że rano też będziemy dostawać taką porcję, bo pani dziedziczka nakazała przez cały tydzień donosić nam, a na obiad zupeł.

– Proszę, jest i karbidówka – gorzelany coś małego, czarnego i świeżącego postawił na stole. – Gdyby coś jeszcze było potrzeba, to jestem obok.

I poszedł.

– Dziękujemy, dziękujemy już państwu bardzo i myślę, że damy już panu na dzisiaj spokój – powiedziała mu mamusia.

Ale, gdy tylko drzwi za sobą zamknął, ze strachem spytała nas:

– No na miłość boską, ale co z naszym spaniem będzie?

– Ja się tam zaraz kładę na słomie. Mam dość – oświadczył Stefan.

– Ale w ogóle po co ta słoma tu jest w pokoju, do czego?

– A może dla nas na spanie? – wymyślił Bolech.

– Chłopcze, na co ty sobie tu pozwalasz?

– No dobrze, mamusiu, ale jeśli dotąd nie uszykowali? A ten gorzelany już się z nami na dziś pożegnał. No to chyba znaczy, że...

– Że co? Że mi dzieci na barłogu mają spać?

– Tak to wygląda.

I wszyscy po kolei zaczęli się wsuwać do tego ciemnego pokoju, gdzie spała już na łóżku w pościeli chora pani Kaczmarkowa. Zaczęliśmy układać się na słomie, przykrywając płaszcami. Panna Marysia, bo tak było na imię siostrze Franka, powiedziała, że ma kilka prześcieradeł, i że nam jutro da, bo dziś nie ma już na to sił. Ani na szukanie, ani na rozpakowywanie, tym bardziej że zrobiło się ciemno. Oprócz Hali i mamusi wszyscy poszli spać. Potem w drzwiach ukazała się mamusia, a za nią Hala.

– Mamuś, przecież..., tak zawsze nie będzie. Nie będzie mamusia siedziała na ławce przez całą noc.

Rozmawiały w drzwiach, bo Hala nakłaniała wciąż jeszcze mamusię, by weszła do izby. Z łóżka odezwała się chora pani Kaczmarkowa:

– Pani należy się łóżko, proszę pani, mnie ono niepotrzebne. Naprawdę. Proszę, pomóż mi Marysiu, ja się położę tu na słomie, a na łóżku pani, nie ja! Pani jest potrzebna swoim dzieciom, nie ja. Pani, matka jedenaściorga dzieci, ja nie pozwolę, żeby pani...

– Na miłość boską, o czym wy tu mówicie?! Przecież nikt nie myślał, żeby pani miała zejść z tego łóżka. O tym absolutnie nie ma mowy! Pani jest chora, więc pani należy się łóżko, a ja już się kładę obok dzieci. I tak minęła pierwsza noc. Na wygnaniu.

– Słyszałam, że tam u nich zegar siedem razy bił niedawno.

– To już niedługo przyniosą śniadanie?

– Feluro, łakomczucho, ino byś jadła! Wczoraj zjadła siedem kawalków!

– No to co? Przecież pozwolili.

– No, dzieci, czy nie widzicie, że tu niektórzy jeszcze śpią? – spytała mamusia sennie.

– Ale ta pani, mamusiu, kaszle i nie można wcale spać.

– Cicho bądź!

– Chodźcie, pójdziemy zobaczyć, jak tu jest w tej wsi, dobra? – chłopcy mówili.

– Po śniadaniu. Teraz poleżcie jeszcze trochę.

– Idziemy?

– Przecież powiedziała mamusia, że po śniadaniu – odezwał się Bolech.

– Dlaczego? Do śniadania wrócimy.

– Zobaczymy, czy nam schody wysypali piaskiem.

– I wygodki poszukamy – dodał Stefan – Bo ten Jędrrek mówił, że jest za domem.

– Gdzie tam, nie wysypali jeszcze, ja już patrzyłem – powiedział Andrzej. – Nic nie zrobione. Wcale nie można zejść, tak ślisko.

– Pan już był na dworze, panie Franku?

– Byłem. Wszystko zawiane. Świata nie widać. Zaspy, śnieg po pas.

– No widzicie, a nie chcecie słuchać.

– To co mamy robić?

– W piotrusia po cichutku sobie pograjcie tam, przy stole obok.

– Dobra. No to my przejdziemy tam grać.

Zrobiło się trochę bardziej przestronnie i można było sobie pospać jeszcze chwilę. Było już może po 9.00, kiedy chłopcy narobili szumu, że ktoś do nas po schodach idzie. Była to ta sama miła niewiasta, która przyniosła nam chleb wieczorem. Trzymała duże wiadro i mówiła:

– Dzień dobry! Przyniosłam zalewajeczkę.

– Co?!

– Zupkę przyniosłam na śniadanie.

– Ale proszę pani, my przecież nie mamy świń i w domu nawet nie mieliśmy nigdy! – wyraźnie i dobitnie oświadczyła Fela.

– Fela?! – krzyknęła mamusia z posłania. – Co tam jest Felutka, co ty gadasz tam?

– No bo ta pani przyniosła taką zupę dla świń. W wiadrze. A my przecież świń nie mamy więc...

– No i co?!

– No, poszła sobie.

– Ale czy ta zupa nie była przypadkiem dla nas? – zapytał Franek, a mamusia zawołała:

– Na miłość boską! Wołajcie ją dzieci, wołajcie tę kobietę! Szybko! Czapki na głowę, szale i wołajcie!

I chłopcy już byli na drewnianym, śnieżnym pomoście i wołali, ale ona nie chciała wrócić.

– Mamusiu, ona mówi, że nie! Nie chce przyjść już.

– Wołajcie ją mocno, żeby wróciła!

I jednak przyszła z powrotem z tym wiadrzem. Było jej bardzo przykro. Płakała. Mamusia i wszyscy wyszliśmy do niej.

– No, widzi pani. Bo w takim wiadrze u nas poilo się konie. Proszę pani, zlewki dla zwierząt w takim się trzymało i podawało im karmę, w takim szarym. A dla ludzi wyłącznie białych się używało, więc niech się pani nie dziwi, że dziecko myślało, że to dla zwierząt. Taka straszna pomyłka, bardzo przepraszamy, bardzo. Więc to dla nas ta zupa?

– Tak, zalewajka – mówiła, łyży ocierając, bo uspokoić się nie mogła.

I było nam wszystkim bardzo przykro, że ta wążka, skromna niewiasta, tak miła, popłakiwała.

Fela mnóstwo otrzymała szturchańców od chłopców za to, aż rozplakała się potem mocno i na długo.

– Mój Boże, chciała dla nas jak najlepiej, a spotkała ją taka przykrość z naszej strony.

– Bo to wszystko przez Felę! Ona zawsze swoje trzy grosze musi!

Niebawem przyszła służąca dworska z koszyczkiem, mówiąc:

– Mówiła pani dziedziczka, żeby rano i na obiad zupę donieść, a chleb na kolację. No i mleko też mam.

– Aha, to znaczy, że chleba nie będzie dla nas rano? – pytała mamusia.

– No, ja nie wiem. Ja spytam jeszcze.

– Bo chleb mamy od wczoraj, mamusiu.

– Wiem, wiem, tylko pytam. A nie wie pani, kiedy ten pan administrator tu do nas przyjdzie?

– Nie, tego nie wiem. Ja z kuchni. – mówiła.

– Ale czym tu jeść?

– Może pani gorzelana na razie pożyczycy kubeczków, a ja do obiadu przyniosę talerze. Parę jest takich blaszanych w kuchni.

– Dzieci, mamy kubeczki od wczoraj, tylko, widzę tam kluseczki w środku, w tej zupie.

– Tak. Zalewajeczka.

– No to, jak to teraz jeść, kubeczkami?

– Można i kubeczkami. Postaram się jeszcze chlebka szybko przynieść więcej.

– Dobrze by było, proszę pani.

I jedliśmy to śniadanie, i nawet ta zupa nam bardzo smakowała. Z domu nie znaleźliśmy takiej. I najedliśmy się do syta. Nasze wszystkie rozmowy było na pewno słyhać u gorzelanych. Dowiedzieć się chyba musieli, tam przez ścianę,

jak bardzo zależy nam na popiciu choć paru łyków kawy, bo nagle w drzwiach ukazała się żona pana gorzelanego z dzbankiem dymiącej kawy zbożowej z mlekiem. Doniosła też dzban ciepłej wody do obmycia kubków i miskę, którą mamusi podarowała. Obiecała też odstąpić nam dwa duże garnki, byśmy na tym piecu mogli grzać sobie wodę. Potem weszła dziewczyna z dworu z koszykiem chleba z miodem, tak że już niczego do szczęścia w tej chwili nie było nam potrzeba. Potem Jędrzek napalił nam w piecach, a gorzelani odstąpili nam dwa wiadra do wody. Z wodą był problem nie lada, bo była w zamrożonej studni. Trzeba ją było stamtąd przynosić, rozbijając lód. Całe szczęście, że był Franek, bo Bolech ze Stefanem nie daliby rady.

Zresztą, kto by chciał usłyszeć opowieści, jak tam było na tym wygnaniu, temu napisać by trzeba było na ten temat całe tomisko opowiadań. Ale i przyjaźnie tam były piękne, no i las bardzo piękny, i biblioteka w dworze, i wypady do przepięknego kościółka wiejskiego. I jak to w naszym domu zawsze też mnóstwo śmiechu. Gwiazdka przecież była niezadługo, więc wspomnienie domu bardzo silne, ale i serdeczności od tych nowo poznanych tam ludzi zaznaliśmy naprawdę ogromnie dużo. Ktoś nam dwie kury w worku pod drzwi podstawił, ktoś inny przyniósł bochen chleba.

A w ogóle to po tygodniu odwiedziła nas, w czerń zawołowana cała, pani dziedziczka. Przerażona tym, jak śpimy, bo tylko mamusia po trzech dniach otrzymała od pani administratorowej małą wąską kozetkę, to znaczy starą, rozwalającą się leżankę, na której odtąd pod wieszakiem spała, a my dalej pokotem pod ścianą, na słomie. Pani dziedziczka Wilska kazała zrobić dla nas coś w rodzaju łóżek, to znaczy z desek pozbijać takie prycze. Ale już przynajmniej słoma trzymała się w tym ogrodzeniu, no i można było prześcieradło na to położyć. I stół kazała nam zbić do tego drugiego pokoju.

Pani Wilska była w żałobie, dlatego iż w kampanii wrześniowej na polu bitwy poległ jej ukochany mąż, przed dwoma laty poślubiony. Płakała mocno, mówiąc nam o tym.

– Jak sito – mówiła. – Przynieśli mi go podziurawionego moi ludzie ze wsi.

Bardzo się zresztą z mamusią pokochały nawzajem. Pani „dobrodziejka”, jak się tu często zwracano do pani dziedziczki, dlatego nie odwiedziła nas wcześniej osobiście, nie zdążyła zainteresować się nami, gdyż u siebie w dworze gościła od kilku dni aż trzy rodziny wysiedlonych. Miała też takich, którzy podobno sami skądś puciekali i przyjechali akurat właśnie w tych dniach. Były tam dwie żony oficerów, jedna z maleńkimi dwiema córeczkami, druga z trojgiem dzieci i jeszcze cała rodzina, licząca siedmioro osób, wyrzucona z majątku pod Kaliszem. I jeszcze jacyś artyści, i chyba jeszcze ktoś. Chodziłam tam potem sprzątać dwa pokoje w zamian za jedzenie, które przecież za darmo otrzymywaliśmy. Mamusia tak sobie życzyła.

Pewnego dnia, trzech wujkowie zawitali niespodzianie do nas. Wuj Stach z Pomorza („ten wspaniały Kaszuba”, jak się mówiło zawsze kiedyś w domu u nas) zabrać miał dwoje z nas do siebie „na całą wojnę”. Ciocia Stasia, mamusi najmłodsza siostra, była jego żoną, więc chcieli oni jej jakoś ulżyć w ten sposób, a tam im podobno nic nie groziło. Przyjechał w asyście wujka Szymka i wujka Mila (Maksymiliana) z Warszawy, męża kuzynki naszej mamy, cioci Jadzi. Po parogodzinnych targach uzgodniono, że pojedę ja i Mietek. Ja, ponieważ tam u cioci była kuzynka odpowiednia wiekiem dla mnie i tak samo Mietek, bo i on pasował do kuzyna. Bez Hali i Zochy mamusia nie mogła zostać. O Bolechu też nie było mowy, bo tatusia przecież zastępował. Stefan ani słuchać o tym nie chciał, a Mietek do wzięcia lepszy był, bo dużo spokojniejszy. Fela jeszcze wchodziła w rachubę, ale tu zaistniała taka sama historia, co ze Stefanem – zbyt żywa! A poza tym ona nie chciała, a ktoś zgodzić się musiał. Po prostu – wypadła. I... tę zgodę wymusili właśnie na mnie.

Najtrudniej było z mamusią. Ona naprawdę nie chciała, żebyśmy jechali. Ale wstyd byłoby odmawiać, odrzucić tak piękną i serdeczną chęć ze strony cioci oraz prośby wujka przyjscia nam z pomocą. Płakałam w pokoju chorej, bo tam zamknęłyśmy się obydwie z mamusią na ostateczną rozmowę.

– Zrozum, dziecko, kogo mam im dać? Stefana? Felę? Żeby tam cioci wszystko porozwalali w domu? Widzisz przecież, jacy są. Zresztą, pięciu dni by tam nie wytrzymali z nimi.

– Niech mamusia nie płacze. Ja pojedę. Ale piszcie do mnie. Codziennie! Wszyscy!

– Obiecuję ci pisać w każdej wolnej chwili. Jak tylko będę mogła.

Wujek Milu uchylił drzwi i ukazała nam się jego głowa:

– No, Helu, jak tam wyniki konferencji? Pomyślne?

– Chwileczkę Milu, zaraz! – odpowiedział matka.

Objęłyśmy się mocno, a mną wstrząsnął silny płacz.

– Chciałabym, żebyś była dzielna, córeczko. A teraz żebyś już nie płakała, bo inaczej nie dam cię. Nie damy. I Mietka mi tam pilnuj, dobrze. Słyszysz?

– Tak.

– I odwdzięcz się cioci za wszystko, co nam tu przysłała. Widziałaś, co wujek przywiózł?

– No i cóż, bo czas w drogę! – to wujek Szymon zaglądnął do nas, więc mamusia wstała z krzesła i za rękę poprowadziła mnie do tego pierwszego pokoju.

– Będziesz miała łazienkę z wanną, Kazia, a nie tak, jak my tu – szeptem podpowiadał mi Andrzejek.

– Kaziula, ale czemu się smucisz? Na dywanach tam będziesz chodziła i będziesz dobre rzeczy jadła.

– I czekoladowe serca – wtrąciła Fela, bo wujek takie przywiózł.

– I kaloryfery będziesz tam miała, a my tu co?

Feli zostawiłam w spadku moje artystki filmowe, całe pudełeczko, które z domu miałam. Ogromnie się tym ucieszyła. Hali dałam poduszeczkę, bo wujek nie kazał mi absolutnie nic zabierać ze sobą, gdyż mówił, że tam wszystko od nich dostanę. Ja jednak bardzo chciałam zabrać moje czarne lakierki i mój albumik z fotografiami, który jeden tylko ja z domu wzięłam. I moje czerwone korale, pamiątkę od tatusia przywiezioną z Neapolu. Czas był do wyjścia. Żegnaliśmy się z braćmi, siostrami i z mamusią.

Pojechaliśmy saniami. Było to około 20 stycznia 1940 roku. Wujkowie rozmawiali przez ten czas między sobą. Politykowali w trójkę, siedząc pod większym kocem, a my pod drugim. Popłakiwaliśmy. Wujek Henryk, wysłuchując moich żalów i niezadowoleń z powodu tej podróży na Pomorze, dziwił się bardzo. Mówił, że jestem „bajdą”, że nie chcę jechać i w ogóle był bardzo nieprzyjemny. Twierdził, że kto inny by z pocałowaniem ręki przyjął taką ofertę.

Na razie Niemcy udawali, że zajęci są Żydami. I to była prawda. Wyrzucali ich z domów i mieszkań. Zamykali podobno w jakiś budach czy barakach, w których absolutnie się nie mogli pomieścić. Place takie okolone były drutami kolczastymi i pilnowane przez uzbrojonych ludzi. Poszłam to zobaczyć, choć Kornel wprawdzie mówił, że tam przechodzić nie wolno, no ale dzieciaki, takie jak my, mówił do mnie, mogą tam przebiec. Tylko dorosłym ludziom nie wolno przechodzić tak blisko.

– Ale dlaczego nie?

– No wiesz, żeby im czegoś nie rzucili!

– Ale dlaczego?

– No bo Niemcy nie każą!

Nie mogliśmy się dogadać, idąc przez Rawę Mazowiecką, do mieszkania, które zajmowała rodzina wujka Szymona, by się z nimi pożegnać.

– Oni nie pozwalają, bo ci Żydzi mają tam zginąć... Rozumiesz? Śmiercią głodową.

– Klepiesz głupstwa, Kornel. – oburzałam się.

Prosiłam Kornela i namówiłam go ostatecznie, by zechciał przejść ze mną tamtą drogą, gdzie znajduje się to getto żydowskie, jak je nazwał.

– Na miły Bóg! – krzyknęłam, gdyśmy „to coś” ujrzeli z daleka.

Za płotem kolczastym widać było rój ludzi w czarnych czapeczkach i biegające dzieci. Słyszać było odgłosy modlitw i śpiewów religijnych w języku, którego dotąd nie słyszałam. I wszyscy oni podobni do siebie byli.

– To jest jedyne najbliższe przejście koło tego getta – oznajmił Kornel.

– I nie ma dostępu do tych ludzi?

– Jak widzisz. W nocy straż jest potrojona.

– Dziwne. Więc co oni zamierzają z nimi zrobić?

- Mówiłem ci! Podobno najpierw z nimi, a potem to samo z nami.
- Głupiś!
- Kaziulka, przecież szkopy mają podobno takie plany. Słyszałem, jak wujek Henryk mówił o tym z ojcem naszym.
- Nie wierzę w to. Nie wierzę. Bujasz. Te dzieci tam tańczą?
- Co ja poradzę, jeśli ty nie wierzysz. Ja ci mówię, że taki mają plan.
- Daj mi no ten chleb twój, Kornel.
- Tylko nie rób głupstw!
- Daj, ja tylko chcę ugryźć.
- To proszę bardzo. My nie mamy wiejskiego chleba, takiego jak wy tam w Wilkowicach. Tylko takiego czarnucha wcinamy. Masz.
- Daj, ale zobacz no te dzieciaczki przy płocie... pokaleczą się przecież, ale nie są to Cyganięta?
- Mogą być, bo tam są Cyganie.
- Cyganie? A co im zrobili Cyganie?
- Otóż to właśnie, jak mówi Janusz, kto im co zrobił, że tak... poniewierają ludzi.
- Znęcają się?
- Właśnie. My spać nie możemy w nocy. Nie wiem, czy ich tam biją, czy co, bo słyhać straszne jęki i płacze. Codziennie. I dzieci wciąż płaczą. Ale! Nie przystawaj! Nie wolno! Szybciej, chodź!
- Idąc, obserwowałam z daleka, co się dzieje za tym ogrodzeniem.
- Nie zatrzymuj się! – zduszonym głosem prosił Kornel.
- Co ty mówisz? Na miłość boską, zobacz tylko! Ta mała wyciąga do nas rękę, a to drugie, jakie malutkie.
- Tak zawsze! Zawsze krzyczą i wołają, jak się przechodzi.
- Żołnierz łązi tylko jeden?
- Na pewno jest tam drugi, na końcu.
- Rzucę im ten chleb.
- Rety! Nie waż się tego robić!
- Rzucę im, choćbym miała zdechnąć!
- Zdechniesz, bo jest kara śmierci za to, co robisz! – I zaczęliśmy się szamotać.
- Czekał, tylko ten wartownik pójdzie w tamtą stronę. Człowieku, przecież muszę im rzucić.
- Nie rób tego, Kazia! Oddaj ten chleb!
- Czekał! Zaraz... Boże, co za oczy mają te dzieci, jakie piękne. Chleb poszybował za płot niczym dysk.
- Nie! Kazia, coś ty zrobiła?! Co teraz?
- Nic. Nie na darmo mam po tatusiu celność, i jakim łukiem leciał.
- Po co ja cię tu prowadziłem? Patrz, a ten z karabinem zawrócił! Co teraz?

– Ale on nie widział, laźł w tamtą stronę. Przestań, bo jeszcze się domyśli.

– O Jezu! Jakby się ojciec o tym dowiedział, ale bym dostał!

– To nie gadaj, po co?

– Ale poszedłem po chleb i teraz nie mamy na kolację i co powiem? I gdzie pieniądze?

– Ja tylko się ze wszystkimi uściskam i zaraz pójde z powrotem, a ty powiesz, że w mojej teczce został ten chleb. Wujek Stach da mi na pewno na niego pieniądze, zobaczysz.

– No, dobra – Kornel popłakiwał. – No już, dobra, jesteśmy.

Nie zapomnę nigdy Mietka, który wyszedł z pokoju drugiego, zielony i blady, nerwowo zacierając dłonie.

– Macie fortepian? – spytałam zdziwiona, bo przed chwilą słyszałam grę Mietka. Z ciociami miło się przywitałam, no i z małymi chłopaczkami.

– A no, wujek kupił. Za grosze, od Żydów. No bo i cóżby nasz Mietku robił bez pianina? – powiedziała jedna z cioc.

– Możesz grać Mietku, gdy...?

– Nie! Nie mogę... Ale gram.

Oni mieli tu dwa pokoje i kuchnię. Już po trzech dniach, gdy ich przydzielono, zabrano całą rodzinę żydowską, która tu przedtem mieszkała, do getta. Wujek Henryk mieszkał jeszcze razem z rodziną żydowską, która bezustannie spodziewała się zabrania. Różności się tutaj dowiedziałam od cioc, jak to było, gdy oni się tu znaleźli. I jak było z Żydami, którzy bety pakowali i na noc rozpakowywali, gdy jeszcze tego dnia nie przyszli po nich. A straszliwą funkcję miał Mietku, bo był przy jakiejś rejestracji tych ludzi ze względu na swoje piękne pismo, bo szukał sobie pracy i przydzielono go do jakiegoś „amtu”. Rodzina się tym bardzo martwiła, bo psychicznie go to zupełnie wykończało. Ale nie było odwrotu, tym bardziej że znał trochę język niemiecki. Od trzech lat bowiem uczył w naszym gimnazjum na nadobowiązkowe lekcje języka niemieckiego. Obściskując dzieciaczki, dowiadywałam się od cioc wszystkiego o nich. I tak ustaliłam, że w celach zarobkowych Janusz z wujkiem kręcili mydło w jakieś szopie na podwórzu.

Następnie poszliśmy do wujka Henryka, rodzonego brata mojego ojca, który także trafił do Rawy Mazowieckiej, On zegarmistrzostwem zarabiał na życie, jak dawniej w Gostyniu. Siedział przy swoich zegarkach tykających, trzymając lupę w oku, uśmiechał się do mnie serdecznie. Stwierdził, że los się do mnie uśmiechnął.

– Będziesz miała tam dobrze, no to ci się, Kaziula, udało.

Chciałam już jechać, ale Mietek stwierdził:

– Ja tam nie jadę, Kazia, ani mi się śni.

Ale jak przyszło co do czego, nie miał nic do gadania, tylko pojechaliśmy pociągiem na Łódź. I tam miała być przesiadka do Chojnic.



Janusz jechał z nami, bo w Łodzi miał zdobyć jakiś towar potrzebny do wyrobu mydła. Mietka naszego mieliśmy przeszwarcować bez papierów, niby jadącego pod opieką wujka, a na jego miejscu na te papiery, które wujek Stach miał dla Mietka naszego, przejechać miał Janusz. A z powrotem już musiał sobie sam poradzić, by przez tę kontrolowaną granicę się przedostać. Bo Łódź wtedy była od wszystkiego jakoś oddzielona. Mówili: „Ani gubernia, ani Reich”.

W Łodzi była paskudna heca. Ponieważ nie mieliśmy dalszego pociągu, tylko dopiero rano, to wujek chciał przenocować w mieście. Zresztą tak było uprzednio umówione, bo inaczej, jak Janusz mógłby przejść przez punkt kontrolny, który był na dworcu łódzkim? I tam właśnie zaistniała fatalna chwila. Wujek, tłumacząc po niemiecku kontrolującemu Niemcowi, że przechodzimy tylko na noc do miasta, by się przespać u znajomych, źle się wyraził. Zamiast „Litzmannstadt” powiedział „Łódź”. I w tym momencie temu Niemcowi się naraził, a ukazując mu papiery, zwrócił się do nas po polsku, byśmy przechodzili. I tu dosłownie wybuchł skandal.

– Ach so! – krzyczał szkop. – To coś ty za Niemiec, jeśli nie wiesz, że miasto to nazywa się teraz Litzmannstadt! – ryczał na cały dworzec. – Zaraz, zaraz! My sprawdzimy, ktoś ty taki! Po niemiecku pięknie, a tu dzieci przemycasz!? Dokumenty! – darł się.

Staliśmy przerażeni, bo było bardzo źle. Wujek na to, że wcale nie mówił, że jest Niemcem, przeciwnie, jest Polakiem i jedzie, to znaczy wraca, „nach Pommern”. Owszem, przewozi dzieci, ale papiery ma w najlepszym porządku! Wrzeszczał już teraz też wujek i kolejny raz odpowiadał, że papiery ma najzupełniej w porządku.

A tamten głupek, od krzyku się zachłystujący, patrząc w te papiery, już pewnie potrójnie widział od tego krzyku, że nie doczytał, iż dwoje dzieci stało wypisane na tych dokumentach, a nie troje. No i puszczone nas.

Po tym wszystkim Janusz był blady jak trup, a wujek mocno podenerwowany, ale więcej go zezłościły i bolały te rzucane na nas przezwiska. Na tym dworcu, w nocy, wśród tych świateł, słyszałam i widziałam mnóstwo ludzi, wrzask, hałas, chaos, i te wyzwiska. Nie wiedziałam właściwie, co się dzieje. Wujek Stach tego wieczoru jeszcze opowiedział to wszystko dokładnie starszym ludziom, znajomym swym, bardzo miłemu starszemu małżeństwu, łódzkim włókniarzom, u których to przenocowaliśmy.

Rano wyjechaliśmy pociągiem do Chojnic.

– Ja! Ja nach Konitz.

– Dokąd, wujku?

– Chojnice tak się teraz nazywają. – odparł wujek, przeprowadzając nas przez kontrolną budę do pociągu.

Mietek płakał. Chciał wracać, ale już nie mógł. Ludzie w pociągu się śmieją i śpiewają. Wszyscy oni są prawie w jednym wieku, kilka lat ode mnie starsi. Wujek przechodzącego zapytał, dokąd jada.

– My musimy stawić się w jakimś Brombergu, to jest podobno Bydgoszcz. Mamy nakaz policyjny, taką kartę i jesteśmy wszyscy na jednej liście. Podobno nas wywozą do jakiś robót. Ale my nic nie wiemy, co i jak tam dalej będzie.

– Co ta banda z nami wyprawia? – zakłopotał się wujek.

– Ho! Panie! Dzieci od matek na łódzkim dworcu oddzielali, samem świadkiem! Nie mogliśmy w to uwierzyć.

– Jak dobrze pójdzie, to gdzieś między drugą a trzecią będziemy na miejscu – rzekł wuj.

Chłopi nasi wspaniale się trzymają, ale żeby i im krzywdy nie robili, bo jeśli i do nich się dobiorą, no to marnie będzie.

– Co wujek mówi?

– U nas, że wsi raczej ludzi powywozili, a z miast raczej mniej.

– Jak to, to tam też?

– No, tak.

– A mówił wujek, że tam jest spokój.

– Skądże, dziecko... Myślę, że nas może, to znaczy przypuszczamy, że zostawią nas w spokoju...

– Wujostwa?

– Tak. Wielu miałem przecież dobrych znajomych, klientów. Można powiedzieć, że nawet przyjaciół wśród Niemców miejscowych, więc myślę, że wstawią się za nami w razie czego. I te papiery dla was są przez nich wyrobione przecież.

– A ja myślałam, że tam jest zupełnie inaczej niż...

– Niż u was, w Wielkopolsce? No tak. Metody nieco zastosowali inne...

– Co to znaczy?

– No, u nas jest zakaz mówienia po polsku, a w poznańskim tego nie stosują.

– No, ale ja przecież nie umiem po niemiecku.

– Będziesz się musiała nauczyć.

– Co wujek mówi?

– No, przecież mówię ci, jak jest. W sklepach, na ulicy, gdziekolwiek poza domem za polską mowę jest bardzo wysoka kara.

– Kara za mowę po polsku? – zdziwił się Mietek bardzo.

– I ludzie nie mówią po polsku, a jak?

– Przechodząc koło Niemców, milczą.

Ogromnie wszyscy kochaliśmy wuja Stacha i jego żonę, ciocię Stasię, mamusi siostrę. No właśnie, ale Mietek do szkoły chyba będzie musiał iść, bo

wyszło właśnie rozporządzenie. To razem z Romanem będą chodzić do jednej klasy. Rażniej im będzie.

– A nauczyciele jacy są?

– No niemieccy, niemieccy, dziecko.

– Co?

Nie wierzyłam w to. Więc po co my tu jedziemy? Po to, żeby Mietek nasz do niemieckiej szkoły szedł?

– Nie macie pojęcia cośmy się z cicią nalatali, żebyście wy mogli do nas przyjechać.

– A my byśmy woleli zostać tam. – powiedział nieodzywający się prawie Mietek.

– Tak? Wolelibyście? No coś takiego.

– No pewnie! – powiedział Mietek, szykując minę do płaczu.

– No nie płacz, przecież nie jedziecie na zawsze. Wojna się skończy, to wrócicie.

– Mietek, nie smuć się. Może jakoś tam będzie. Wiesz, oni mają książki śliczne, to sobie będziesz czytał. Ja sobie teraz pośpię, dobrze?

– Wujku! Wujku?

– Co chcesz, Mietek? Co, Miciu?

– Kontrolują bilety.

– Nie płacz, dziecko, nie płacz... Będzie ci przecież u nas, jak w domu.

– Czy to już jest Pomorze, wujku? – pytał Mietek.

– Tak, to już, chłopcze. Ale ta wasza Kazia to płaczka dopiero – kołysał wujek głową, dziwiąc się moim łzom.

Mietek oświadczył:

– Bo ona widziała, jak tatusia rozstrzelowali. Dlatego.

– Aha! Ach! Ona widziała, aha – dowiedział się wujek Stach.

Żal było opuszczać cudne Mazowsze, które tak pokochałam.

– Ty, ale jak oni się na nas darli, jak żeśmy tam przechodzili przez tę budkę w nocy, w Łodzi, nie?

– Ja w ogóle nie wiedziałam, co się święci.

– A ja myślałam, że już po nas, że wujka gdzieś zabiorą, zamkną. I w ogóle nic, tylko te światła widziałem, i tych z SS.

– To było SS? Ty się na tym znasz?

– Janusz mówił, on wie.

– Tylko, jak on teraz wróci do Rawy bez tych szajnow? Może być Januch w paskudnym kłopotcie.

– Dobrze, że ja łyżwy zostawiłem Stachowi. Będzie sobie przynajmniej mógł jeździć, ile chce.

– No, a ja Feli zostawiłam moje artystki. Będzie je sobie mogła układać. A może jeszcze troszkę pośpijmy, Miet, dobra?

Po jakimś czasie Mietek zwrócił się do wujka z pytaniem:

– Kiedy będą Chojnice?

Wujek wstał i spojrział przez szparę lekko uchylonego okna, gdyż szyby przyozdobione były grubą warstwą zaśnieżonych kwiatów, a z dworu wionęło zimną ciszą.

– Chodźcie, zobaczcie – powiedział. – Malbork.

– Malbork?

– Ojej, ale zamczysko! Kazia! Chodź, zobacz! – wołał mnie do okna brat.

Oczom naszym osobiwy ukazał się widok. Na całą zimową panoramę rozpościerał się groźny, zniewalająco posepny zamek.

– To ten pokrzyżacki – rzekł wujek. – Znacie go z historii i z Sienkiewicza. Przyjrzyjcie mu się.

– O Boże, jaki straszny ten zamek – stwierdziłam.

– O tak – mówił wujek – twierdza nie do zdobycia. Potężny, ile tu pychy.

Słabo mi się zrobiło od patrzenia na niego. O rety, myślałam, z trudem powstrzymując łzy, jak twardy i zahartowany musi być naród nasz, jeśli przed wiekami potrafił oprzeć się takim murem, takiemu wrogowi. Muszę szybko powtórzyć historię, Maryla ma przecież książki, więc od początku dokładnie sobie powtórzę wszystko. A potem ucieknę stamtąd do Poznania, stamtąd odwiedzać będę mogła babcię, ciotce i małego Januszka, Gostyń, miasto nasze. Choćby i pieszko. Swój RODZINNY DOM.



*Autorka wspomnień (Chojnice, styczeń 1943)*

– Kazia, już niedługo będziemy na miejscu. Już, już teraz nie usypiajcie, dzieci.

– Konitz! Konitz! – wykrzykiwali jadący ludzie.

– Koniec już wujku? – Mietek pytał.

– Konitz, wysiadamy, to Chojnice.

Byliśmy z Mietkiem na miejscu, a mama, bracia i siostry pozostali w okolicach Rawy Mazowieckiej.